Rok VI. 31-go Lipca 1887 r. Nr 14

PRZEDPŁATA WYNOSI:

W Szwajcaryi, Francyi, Belgii i we Włoszech: 6 franków.

W Niemczech z przesyłką w kopertach 10 fr.

Organizacyje socyjalistyczne i robotnicze korzystać mogą z ułatwień.

WYDAWNICTWO „WALKI KLAS“

PRZEDŚWIT

(L'AURORE)

CZASOPISMO SOCYJALISTYCZNE

WYCHODZI DWA RAZY NA MIESIĄC.

PRZEDPŁATA WYNOSI

W Austryi 5 guldenów; W Rosyi 5 rs.

Cena Numeru pojedynczego 20 centimów, pod opaską 25 cent., w kopercie 40 centimów.

Prenumeratę i korespondencyje z kraju nadsyłać należy w listach rekomendowanych

Adres Redakcyi i Administracyi: GENEVE, Chemin Dancet, 15 Imprimerie de l'Aurore.



SAMI I ZE WSZYSTKIMI!

Nieraz już mówiliśmy o konieczności utworzenia organizacyi robotniczej. Wykazaliśmy, jak niezbędnem jest, by klasa robotnicza złączyła się zarówno w oddzielne stowarzyszenia zarówno dla odparcia napadów, które na nią robi żarłoczna klasa kapitalistów, jak i w jedną jednolitą partyję polityczną, której zadaniem było by zawładnięcie państwem, aby w ten sposób położyć koniec dzisiejszemu panowaniu klas. Dziś nie będziemy powtarzali tego, cośmy już nieraz wypowiedzieli i co nieraz jeszcze będziemy zmuszeni wyjaśniać; dziś chcemy zobaczyć, jak postępować nam wypadnie: czy po drodze naszej do wyzwolenia siebie samych i ludzkości całej z dzisiejszego nierządu społecznego spotykać będziemy sojuszników i pomoc, czy też na każdym kroku wystąpią przeciw nam coraz to nowe szeregi wrogów i coraz to nowe przeszkody.

Jest to już słabością ludzką, że nadzieja na pomoc dodaje człowiekowi otuchy, — podczas gdy przewidywanie coraz to nowych przeszkód napełnia go obawą i zniechęca do raz przedsięwziętej już roboty. Widzimy to w codziennem życiu: wszędzie człowiek chciałby ułatwić sobie swoje zadanie i dlatego też ma on zwyczaj oczekiwać dla siebie pomocy zewsząd. Jeden wierzy wpomoc boską, drugi w poparcie swych bliźnich; inni nie mogą sami tego określić, czego się spodziewają, ale zawsze wyczekują czegoś, wypadku jakiegoś niespodziewanego, trafu ślepego, losu dobrego i t. d. Czem więcej nieokreśloną bywa ta nadzieja, tem większy jest zawód, tem więcej też bezsilnym staje się ten, który nie mógł się wyzwolić od tej myśli, że owa pomoc musi mu przyjść.

W polityce nie dzieje się też inaczej. Zanim pewna partyja osiągnie zwycięztwo, jest ona zawsze niepewną siebie i dlatego oczekuje sojuszników. U nas naprzykład w czasach rozruchów i powstań patryjotycznych nadzieje przenajróżnorodniejszego rodzaju zawsze grały ogromną rolę. To spodziewano się pomocy z zagranicy, to myślano, że wszystek lud pracujący pójdzie ze szlachtą bić się za ojczyznę, w której i wyzysk i ojczyzna panowały. Ci, co kierowali ruchami patryjotycznymi u nas, wiedzieli dobrze, że sami nie podołają sprawie że ich bogata i szlachecka klasa nie będzie w stanie zwalczyć rządów najezdniczych, więc też pomimo swej dumy, pomimo tego, że siebie uważali za uprawnionych do rządzenia krajem i całym ludem pracującym, pomimo tego, nie mogli sami li tylko na własnych polegać siłach. Jeżeli tak bywa i w życiu codziennem a nawet i w polityce, to nie powinno nas to zdziwić, gdy i w naszych szeregach przedewszystkiem spotkamy się z zapytaniem: a jakich my po drodze sojuszników spotkamy, na jaką my możemy liczyć pomoc? Trzeba w dodatku zauważyć, że klasa robotnicza najmniej po dziś dzień miała odwagi, najmniej miała zwyczaju walczenia o swe prawa, najmniej wierzyła w swe własne siły, a tylko zawsze spuszczała się na innych, zawsze polegała na tem, że los jej zależy od dobrej woli i chęci tych, którzy sami mianowali się panami tego świata i którzy też nimi w samej rzeczy byli. Z tego względu, powtarzamy, możemy zawsze być przygotowani na zapytanie: a kto z nami będzie, kto nam pomoc da? W naszym zaś szczególnie kraju, gdzie panowie stawią wszystko w zależności od niepodległego bytu ojczyzny, zapytanie takie będzie tem bardziej ważne, że naokoło nas możemy zobaczyć i szlachtę i burżuazyję, i drobne mieszczaństwo, które chce czegoś i które wciąż przygotowuje się do jakiejś walki, wciąż o niej mówi i wciąż innych do niej nawołuje.

Nad temi zapytaniami trzeba się zastanowić, a to z dwóch względów. Popierwsze: zbyć takie zapytania prostą odpowiedzią, iż nie należy liczyć na nikogo, lecz tylko na siebie, może się wydawać niejednemu wcale niedostatecznem; niejeden wprost opuści ręce po takiej odpowiedzi, boć wszak tylko niewiara w swe siły mogła go natchnąć takiem zapytaniem. Należałoby więc dobrze rozpatrzeć się w tej odpowiedzi, by za jej pomocą módz dodać otuchy i wykazać, że właśnie *siła* leży w sobie samym, — że nie z ambicyi i uporu trzeba na samego siebie tylko liczyć, ale dlatego, że w nas i tylko w nas leży siła dostateczna do osiągnięcia celów naszych. Powtóre ponieważ, jak już wspomnieliśmy, i za obrębem naszym są partyje polityczne, które walczą i które tem samem mogą mieć wspólnego z nami wroga, a zatem musimy się rozpatrzeć, co w takim razie nam robić należy, czy nie mamy w tych partyjach widzieć naszych sojuszników tymczasowych i to sojuszników z musu? W artykule niniejszym postaramy się doszukać tej odpowiedzi i w krótkości podać ją naszym czytelnikom.

Jasną jest rzeczą, że wszyscy ci, którym jest wygodnie przy dzisiejszych porządkach społecznych, którzy żyją cudzą pracą, są naszymi wrogami i żadnej nam pomocy nie dadzą. Do nich przyłączą się także i ci, którym wprawdzie dziś niezupełnie jest wesoło, ale którzy dobijają się dla siebie możności wyzyskiwania innych, — innemi słowy ci, którzy polepszenie swej doli widzą nie w zniesieniu wyzysku i niesprawiedliwości, nie w dobrobycie wszystkich ludzi, lecz w zdobyciu dla siebie uprzywilejowanego stanowiska. Drobny kupiec, drobny majster i t. d., który pomimo że od wielkiego kapitalisty dostaje wciąż cięgi, pomimo, że mu źle jest właśnie przy istnieniu walki słabszego z bogatszym, o niczem jednak nie marzy, jak o zdobyciu dla siebie przywileju i siły wyzyskiwania innych, — ten nie z nami, lecz przeciw nam idzie.

Jasną jest rzeczą, że gdybyśmy zaczęli oceniać naszych przeciwników według siły liczebnej, to znaczenie ich nie wypadłoby wielkie. W każdym kraju ilość wyzyskiwanych przewyższa ilość wyzyskujących o ośm, dziewięć razy: w każdym kraju ilość posiadających jest o ośm, dziewięć razy mniej liczną, od ilości tych, którzy nic nie posiadają lub którzy z własności swej, jeśli takową posiadają nie mogą się utrzymać, lecz muszą wynajmować swą siłę roboczą, by pracować na warsztatach cudzych i na cudzą korzyść.

Natomiast przeciwnicy nasi są zorganizowani i mają siłę w swem ręku. Każdy zaś z nas wie, co to znaczy zorganizowana siła. Ileż to razy czytamy, jak garstka żołnierzy umie walczyć z tłumami. Dlaczego? Dlatego, że garstka ta jest zorganizowana w celach walki, — podczas gdy tłum stanowi niejednolitą masę, która wcale nieprzygotowana przystąpiła do walki.

Przeciw jednak tej sile, którą wrogowie nasi mają, my posiadamy inną siłę, która nie w liczbie naszej tkwi, której znaczenie jest daleko większem.

Nieraz już zwracaliśmy na to uwagę, że nie można urządzać społeczeństwa według naszego upodobania. Nie trzeba przypuszczać, że każda partyja polityczna, jeśli tylko liczebnie jest silną, może dokonać tego, czego o n a chce. Przenigdy! Każda partyja, każda klasa może dobić się tego, na co warunki kraju pozwalają. Jeśli ludzkość ma pewną wolę w swojem urządzeniu się, to wola ta jest ograniczoną temi warunkami, wśród których się ona przejawia. Weźmy naprzykład jakieś społeczeństwo dzikich; przypuśćmy, że tam powstaje u większości myśl zorganizowania takiego państwa, jakie spotykamy w Europie,

Czyż potrafią oni tego dokonać? Nie! Nie masz bowiem u nich ani należytego rolnictwa, ani przemysłu; nie masz u nich tych bogactw, które my posiadamy, a więc i ich państwo nie mogłoby mieć ani setnej części tych środków, któremi nasze państwa rozporządzają. Rozumie się, że w ogóle to i tam mogłoby się wytworzyć państwo silniejszych, któreby uciskało słabszych, ale podobieństwo między ich państwem a naszem byłoby tylko ogólne: takiego państwa, jak my mamy, oni nie byliby w stanie stworzyć. Warunki materyjalne, wśród których oni żyją, nie pozwalają im mieć takich urządzeń społecznych, jakie my mamy.

Weźmy teraz inny przykład: przypuśćmy, że szlachta nasza, która nie może się porządnie zagospodarować, chciałaby wrócić do czasów, w których istniało poddaństwo i istniała pańszczyzna. Czyżby to mogło się jej udać? Nie! I nietylko dlatego, że lud nasz mógłby powstać i skutecznie sprzeciwić się temu, ale same warunki nie pozwoliłyby na to. Tam, gdzie miasta przemysłowe się rozwinęły, tam klasa kapitalistów, potrzebująca *wolnego* robotnika, nie mogłaby pozwolić na powrót całego ludu pracującego pod panowanie szlacheckie. Wreszcie i sama szlachta nie chciałaby powrotu do poddaństwa, bo *dziś* robotnik *poddany* kosztowałby ją znacznie drożej, niż robotnik *wolny*. Jednem słowem, warunki, w jakich się dziś rozwija gospodarstwo społeczne, nie pozwoliłoby na zaprowadzenie pańszczyzny.

Jeszcze jeden, ostatni przykład. Wiadomo każdemu, jak dziś drobny przemysł narzeka i jak w samej rzeczy jest on uciskanym już przez wielki przemysł i wielki handel. Cóż z tego, że ten i ów i dziesiąty rzemieślnik wykształcony jest w swym fachu i usilnie się stara o pracę i zarobek. Pomimo wszystkich zabiegów i starań idzie mu coraz gorzej; jego warsztat się zmniejsza; czeladź jego jest coraz gorzej płatna; uczniowie coraz bardziej wyzyskiwani; wszystko to wszakże nic nie pomaga; nasz rzemieślnik coraz bardziej upada i dostaje się w niewolę przedsiębiorców, na obstalunek których pracuje, albo też sprzedaje warsztat i idzie do fabryki na robotnika. Taki stan rzeczy wyrodził u drobnych przemysłowców przekonanie o konieczności zreformowania dzisiejszych porządków; to samo przekonanie istnieje i u drobnych właścicieli rolnych, którzy czują ucisk wielkiej własności. Jakież są żądania tych drobnych właścicieli i drobnych przedsiębiorców? Chcieliby oni widzieć wytwarzanie bogactw na drobną prowadzone skalę; chcieliby oni, by produkcyja społeczna mogła się odbywać drobnemi kapitałami i by w ten sposób uniknąć konkurencyi i przewagi wielkiego przemysłu. Ale dlaczego powstał wielki przemysł? Dlatego że jest on w stanie wytworzyć większą ilość towarów w mniejszym przeciągu czasu i w ten sposób dostarcza on i więcej towarów i taniej. Jeżeli zaś w społeczeństwie istnieje potrzeba coraz silniejszego wytwarzania, to jakże można się spodziewać, by dzisiejszy wielki przemysł mógł ustąpić miejsce drobnej produkcyi? Widzimy zatem, że, chociaż skargi drobnych właścicieli i drobnych przemysłowców są słuszne, ich plany i ich żądania są niemożliwe, bo warunki materyjalne dzisiejszych społeczeństw nie pozwalają na wprowadzenie na nowo niewystarczającego już drobnego przemysłu.

A zatem, może niejeden z czytelników zaprędko wywnioskować, dzisiejsze warunki skazują już nas na to, by być wyzyskiwanymi i uciskanymi przez przedsiębiorców!

Wcale nie! Przeciwnie: dzisiejsze warunki wykazują nam, jak blizkim jest koniec dzisiejszych porządków społecznych. Przypomnijcie sobie, czytelnicy, cośmy już raz powiedzieli o dziś panujących kryzysach przemysłowych z jednej strony i dziś panującem ześrodkowywaniu się narzędzi pracy w rękach coraz to mniej licznej garstki ludzi. W ten sposób widzimy, jak z jednej strony ilość właścicieli zmniejsza się pomimo wzrostu bogactw, albowiem wskutek konkurencyi i przewagi wielkiego przemysłu i wielkiej własności, ilość właścicieli zmniejsza się, a natomiast bogactwo całe skupia się w rękach tych wybranych losu, wyzysku i przemocy; z drugiej strony cała klasa średnia musi zanikać wobec tej przewagi wielkiej własności i spadać do rzędu najmitów. Oto jest jedna strona medalu! Druga wcale nie lepiej wygląda: coraz to więcej się wytwarza, ale ludność coraz to biedniejszą się staje. Jako skutek takiego położenia zjawia się to, że przedsiębiorcy nie mogą nadal wytwarzać, bo i tak rynki są już przepełnione bogactwami, których nikt nie nabywa. W ten sposób zubożała już ludność dostaje się w nowe niebezpieczeństwo, bo pozbawiona pracy i możności zarobkowania ma ona przed sobą widmo śmierci głodowej. Takie położenie nie może trwać długo. Najpokorniejszy lud podniesie rokosz, gdy ucisk go zanadto dławić pocznie. Tembardziej zaś należy się spodziewać rokoszu, gdy same warstwy panujące doprowadzają dzisiejsze porządki do takiego stopnia, że nie masz innego wyjścia, jak zupełna zmiana takowych. Kredyt, który klasy panujące posiadały, — mianowicie wiarę, że one mogą rządzić społeczeństwem — został wyczerpanym; następuje więc chwila, w której uciemiężone klasy muszą same zawładnąć sterem interesów społecznych, by siebie wyzwolić z ucisku, a całe społeczeństwo z bezrządu dzisiejszego.

Mamy więc ogromnie silnego sojusznika, — mianowicie rzeczywistość, rozwój wypadków i życia społecznego. Samo życie społeczne spieszy nam z pomocą; każdy dzień przynosi z sobą nowe ofiary wyzysku kapitalistycznego, nowe kryzysy, które z jednej strony wzmacniają szeregi niezadowolonych z dzisiejszego porządku, z drugiej powiększają bezsilnośc, niezaradność i bankructwo dziś panujących klas. A nie masz większego sojusznika nad rzeczywiste życie społeczne, — albowiem wtedy staje się jasnem, że żądania nasze są potrzebami, rzeczywistemi i koniecznemi potrzebami społeczeństwa.

I oto patrzmy! Klasa robotnicza, uciskana, wyzyskiwana i pogrążona w ciemnocie, gdy



BŁAZEN I BŁAZNY

Było to wieczorem. Powietrze wiosenne zapachem swym odświeżało twarze mieszkańców Warszawy. Oczy robiły się weselszemi, jak gdyby świeża zieloność mogła im nadać blasku. Krew też szybciej po żyłach krążyła i serce żwawiej biło. Czy to w rozmowie na ulicy, czy to w ochocie do zabawy znać było żywsze zajęcie się, znać było wpływ wiosny, odmładzającej wszystkich i wszystko.

Na ulicach było gwarno i ludno. Godzina wieczorna położyła kres robotom. Wszyscy spieszyli korzystać z pogodnego i ciepłego wieczora, by nabrać sił na jutrzejszy dzień.

Jedni spieszyli do ogrodów, inni chcieli nawet ujść daleko za miasto, na pole, gdzie życie miejskie nie zatruwa świeżego powiewu wiatru. Wreszcie byli i tacy, którzy pożądali zabaw bardziej drażniących — ci szli do teatrów, do cyrku.

Przed cyrkiem Salomońskiego na ulicy Ordynackiej tłum był liczniejszy, niż gdzieindziej. A w tłumie tym poformowały się gromadki, którym widocznie prócz chęci zabaw jeszcze jakaś myśl spokoju nie dawała. Baczny spostrzegacz mógł zauważyć, że coś się dzieje, że kupujący bilety dziś inaczej się zachowują, niż zwykle, niż wczoraj, niż onegdaj się zachowywali.

W samej rzeczy w tłumie można było rozróżnić kilka gromadek młodych ludzi w mundurach akademickich i w zwyczajnym ubiorze, szepczących coś i zmawiających się o coś. O czem oni mówili? Co chcieli oni w cyrku robić?

Zaraz się dowiemy o tem, bo oto ulicą spieszy kilku ludzi, z ubrania sądząc, robotnicy. Idzie ich czterech, ale nie najstarszy jest ich przewodnikiem. W pośrodku spostrzegamy młodego człowieka, lat co najwyżej 25, który zdawał się tłomaczyć coś towarzyszom swoim i kierować drogą, którą przebyć mają. Już mieli skręcić na Tamkę, gdy przewodnik naszej gromadki, rzuciwszy okiem na tłum, stojący przed kasą cyrku, zatrzymał się.

— Dlaczego Władku nie idziemy dalej? — zapytał ten, który był najstarszym.

— Coś tu się święci — odpowiedział zapytany. — Widzę tu akademików, którzy muszą mieć jakieś zamiary; ich ruchy i szepty zdradzają mi to.

Stary spojrzał w stronę, na którą wskazał Władek; oczy zmrużył i bacznie się przypatrywał. Musiał i on coś dojrzeć, bo z zadowoleniem spojrzał na Władka i, zwracając się do swych towarzyszy, rzekł:

— Zuch z tego Władka!... I serce gorące i głowa nie od parady tylko i wzrok bystry... Zuch z niego... to drugi Henryczek...

— Cóż to za Henryczek?... O kim to mówicie?.. — zapytał trzeci, najmłodszy ze wszystkich.

— Jakto... nie wiesz, kto był naszym Henryczkiem?... Widać, żeś jeszcze nowicyjusz... Toć to myślę o Dulębie, którego nam zbiry zabrali i wywieźli w daleki Sybir...

Stary się zadumał nad losem drogiego i energicznego towarzysza, którego wrogowie trzymają już dziś w swych szponach. Wtem Władek wziął go za ramię i rzekł:

— Oho!.. Idą tu do nas, spostrzegli nas... Jest tam i pan Tadeusz, wielki patryjota.

Zanim Władek skończył, trzech młodych akademików zbliżyło się do naszej gromadki. Przed cyrkiem bowiem spostrzegli stojącego na rogu ulicy Władka ze swymi towarzyszami. Jeden z akademików wskazał na nich swym towarzyszom; wnet rozpoczęły się żywsze szepty, po których wspomniani wyżej trzej, jakby posłowie, udali się do stojących zdala robotników.

Gdy doszli, jeden z nich, którego Władek przywitał jako pana Tadeusza, w wymownych słowach zaczął przedstawiać zamiary zgromadzonych przed cyrkiem swych towarzyszy.

— Błazen cyrkowy — mówił pan Tadeusz — obraźliwie się wyrażał o polskich kobietach i tem samem dopuścił się obrazy honoru polskiego narodu. By ukarać błazna akademicy postanowili obrzucić go dziś zepsutemi jajkami, zgniłemi jabłkami i t. d. i w ten sposób pomścić kobiety polskie i jednocześnie zamanifestować swój patryjotyzm.

podnosi głos swój w obronie swych interesów, to całe życie społeczne odpowiada na jej skargi głośnem echem, jakby na potwierdzenie i poparcie naszych żądań. Podczas kiedy klasy panujące pomimo swej siły, pomimo swych „uczonych“, są bezsilne dla zaradzenia dzisiejszym klęskom społecznym, — głos klasy robotniczej rozlega się, jak proroctwo, a wszystka rzetelna i zupełna prawda życiowa odpowiada potakująco na nasze żądania.

Nie jesteśmy więc sami! Wszystko jest z nami; cały rozwój życia społecznego jest z nami; interes całej ludzkości idzie w parze z naszymi interesami i dlatego też możemy powiedzieć, iż bronimy wszystkich, że jesteśmy ze wszystkimi.

Na jedną, główną część naszego zapytania daliśmy odpowiedź; pozostaje druga część naszego zapytania: czy jesteśmy lub czy powinniśmy szukać sojuszników, tam, gdzie i inne partyje polityczne mają wspólnego nam wroga? Na to zapytanie odpowiemy w przyszłym numerze Przedświtu.



WAMPIR NIETOPERZ
i
WAMPIR CZŁOWIEK

Istnieje znaczna ilość przesadnych opowieści o nietoperzach, zwanych Wampirami, którzy wysysają krew z pogrążonych we śnie ludzi. Dosyć jest — mówią te opowiadania — by wampir spostrzegł człowieka sennego, a wnet rzuca się na swą ofiarę i wysysa zeń krew, a wszak wiadomo, że krew to siła nasza; człowiek po utracie krwi traci swe siły. Wampir jest więc wrogiem rodzaju ludzkiego. Opowiadają też, że człowiek przezeń wyzyskany, z krwi okradziony, nie może już długo cieszyć się nietylko zdrowiem, ale i życiem.

Zaznaczyliśmy już, że opowieści te o nietoperzach są przesadne, są legendą. Człowiek we śnie może być spokojnym o swe życie i zdrowie. Co innego człowiek na jawie! Temu to rzeczywiście grozi niebezpieczeństwo, że mu zabiorą krew, ale nie nietoperze, lecz wampiryludzie.

W samej rzeczy, przypatrzmy się naszej klasie robotniczej, warunkom, wśród których ona pracuje, odżywianiu, którem ona ma wrócić do utraconych przy pracy siłach, a zrozumiemy jej położenie.

W każdej gałęzi pracy setki i tysiące robotnika choruje na b e z k r w i s t o ś ć, czyli na brak krwi w organizmie, na a n e m i ę — jak się lekarze wyrażają. Każdy, trochę tylko starszy robotnik, choć za młodu był krewki i zdrów, jest anemiczny, bezkrwisty. Zdrowie kobiet i dzieci w rodzinie robotnika nie jest i nie może być lepszem. Rodzina robotnicza nie ma mieszkania należytego, nie ma pokarmów w dostatecznej ilości, nie ma odzieży należytej, nie ma też i **krwi**. W wielu zaś gałęziach pracy (w kopalniach, w fabrykach wyrobów siarczanych, ołowianych, w papierniach i t. d.) krew robotnicza zostaje zatrutą od kurzu tych produktów, które oni przetwarzają. Zresztą po co mamy szukać kopalń, po co nam iść do fabryk, gdzie warsztaty są zatrute siarką itd.; dostatecznem jest zajść do pierwszego lepszego warsztatu, do pierwszej lepszej fabryki, by zrozumieć, dlaczego robotnicy nie mają krwi, dlaczego ją tracą i dlaczego nie mogą nabyć raz utraconych sił.

Któż nam tę krew zabiera? Na pierwszy pozór można obwiniać o to duszne powietrze w fabryce, ołów, siarkę, gazy, które nagromadzają się w kopalniach itd. Na pierwszy — powtarzamy— pozór gotowi jesteśmy obwiniać o kradzież krwi te przedmioty nieożywione, tę materyję nieożywioną, która nie ma żadnej woli i która też nie może być odpowiedzialną za to przed nami. Panowie właśnie tak mówią. Cóż robić? — powstarzają oni — wszak węgiel, siarka, ołów itd. są nam potrzebne; wszak musimy je wydobywać z ziemi i musimy je przetwarzać. Jeśli dziś Paweł od tego choruje, to jutro będzie musiał to Gaweł robić i chorować tak samo, jak się to dziś dzieje z Pawłem. Skargi zatem są tu zbyteczne; nie ludzie temu winni, jeno przyroda!

Otóż idzie nam właśnie, o to by wykazać, że nie przyroda jest temu winną, tylko jedynie ludzie, tylko ludzkie urządzenia, przy których dziś praca się odbywa.

Trzy są przyczyny, dla których dziś klasa robotnicza traci swe siły i swą krew. Pierwszą stanowi obciążenie pracą, zbyt długa praca. Druga przyczyna chorób robotniczej klasy tkwi w niezdrowotnych urządzeniach, przy jakich się praca dziś odbywa. Wreszcie trzecia przyczyna, to niedostateczne odżywianie się pracujących, to brak pokarmów zarówno co do jakości (dobroci) jak i co do ich ilości. Wszystkie te trzy przyczyny są to żądła, za pomocą których wysysa się krew robotnicza. Do kogo należą te trzy żądła? Na czyją korzyść wyciągają one krew z klasy pracującej? Kto jest tym wampirem, który tak ostre i tak liczne posiada żądła? Zanim odpowiemy na te zapytania, zanim narysujemy wam postać tego nietoperza-wampira, zabijającego klasę robotniczą, przypatrzmy się żądłom, owym trzem, wyżej przez nas wyliczonym, przyczynom, z powodu których zdrowie mas pracujących w tak okropnem znajduje się położeniu.

Przedewszystkiem zaznaczyliśmy obciążanie pracą. Przy robocie każdej człowiek zatraca pewną ilość swych sił. Czem więcej sił zatraca, tem więcej potrzebuje on odżywiania się, niejako reparacyi tychże sił, ich odrodzenia. Jest wszakże pewna granica, której przekroczyć nie można, albowiem odradzanie nie bę-

---

Gdy pan Tadeusz to mówił, Władek uśmiechał się z początku, następnie pogrążył się w myślach i zbladł. Towarzysze jego nie spuszczali zeń oka, wyczekiwali od niego decyzyi. Niedługo czekali; zanim przebrzmiały ostatnie słowa „wykształconego“ akademika, Władek wziął go za rękę i rzekł:

— Bardzo pan pięknie mówisz, panie Tadeuszu. Robisz nam wielki honor, jeśli i nas zapraszasz, by razem z wami mścić się na błaźnie, który lekceważąco mówi o polskich kobietach... Ale powiedz nam, panie Tadeuszu, ty, którego słowa błazna tak srodze dotknęły, dlaczego to twoje serce nie kipi nienawiścią do tych, którzy codziennie gwałcą honor i spadlają nasze, robotnicze kobiety... Dlaczego ty milczysz, gdy, przechodząc przez ulicę, słyszysz muzykę, rozlegającą się w burdelach, gdzie giną marnie spodlone i nieszczęsne dziewczęta polskie?... Dlaczego ty milczysz, gdy pan na wsi hańbi wiejskie dziewczęta polskie?... Dlaczego ty nie bronisz honoru tych polskich kobiet, które twoi towarzysze bałamucą i biorą sobie za utrzymanki?.. Ja widzę tam, w towarzystwie twoich kolegów kilka dziewcząt, które z głodu oddają się wam, — którymi wy się bawicie, a potem pogardzicie, jako spodlonemi... dlaczego to ty, panie Tadeuszu, możesz to ścierpieć, a jednocześnie być rycerzem polskich kobiet?.. I cóżbyś powiedział o człowieku, który znosi bezkarnie to, że mu hańbią jego siostrę, jego żonę, jego córkę, i który spieszy być rycerzem kobiet, hałasując w cyrku?.. A zresztą, panie Tadeuszu, my i *swego* honoru jeszcze nie umiemy bronić... Czyż ty myślisz, że ucisk i wyzysk, który ciąży na nas, nie upadla nas, nie obraża nas?.. Dlaczego więc, panie Tadeuszu, nie bronisz honoru całego ludu pracującego?.. Czyż nie widzisz, że większość tych, jeśli nie wszyscy, którzy dziś chcą błazna karać, obrażają polski lud pracujący, wyzyskują go i uciskają?.. I ty, panie Tadeuszu, który dziś chcesz być rycerzem — takim krótkowidzem jesteś...

— Ale, interes ojczyzny... — przerwał pan Tadeusz...

Władek nie pozwolił mu dokończyć.

— Tylko nie prawcie nam tu o ojczyźnie, bo ją inaczej bronić należy... Nie z błaznami nam dziś walka jest potrzebna, ale z wyzyskiem i uciskiem... Nie w cyrku my walki staczać będziemy i nie zgniłemi jajkami będziemy się dobijać wyzwolenia robotnika polskiego... A wiesz pan, panie Tadeuszu, gdy robotnik polski będzie wyzwolony, wtedy błazny nie będą obrażali polskich kobiet... ani błazny cyrkowi, ani błazny w mundurach „uczonych.“

Panu Tadeuszowi krew do głowy uderzyła.

— Chodźmy... — zawołał do swoich i gniewny wrócił do tłumu, który począł wchodzić do cyrku na przedstawienie...

Za panem Tadeuszem podążył tylko jeden z jego towarzyszy. Trzeci akademik się został i niepewnym głosem zwrócił się do Władka:

— Panie... nie znamy się... to prawda... ale słowa twoje przemówiły do rozsądku mego... Masz słuszność... Mnie samemu te myśli przychodziły do głowy... Jestem akademikiem, ale nie tak świetną była karyjera mego ojca... I w rodzinie mojej był wypadek...

Dalej młody akademik nie mógł mówić... Władek mu przerwał:

Nie idzie nam towarzyszu... (bo będziesz nim, więc cię już tak nazywam...) co było w twojej rodzinie, ale co jest w twem sercu i co jest w twej głowie... Chodź z nami na zebranie nasze... pogadamy tam obszernie, jak walczyć winniśmy...

Akademik podał każdemu z robotników rękę, którą serdecznie uściskano.

Gromadka poszła swoją drogą na zebranie, gdzie czekali ich liczniejsi towarzysze.

W kilka godzin potem Władek wracał ze starym Szczepanem tą samą drogą. Przed cyrkiem zatrzymał ich gwar i krzyki. Żandarmi i policyjanci rzucili się na gromadkę studentów. Na zakręcie ulicy, tuż przy gmachu konserwatoryjum muzycznego, Tadeusz szamotał się z jednym zbirem, chcąc ratować się ucieczką.

Władek, ujrzawszy walkę, rzucił się na pomoc akademikowi; uderzeniem pięści obalił żandarma i wyzwolił w ten sposób Tadeusza.

— Uchodź żywo... a powiedz tam swoim, że takie same razy, które mamy na żandarmów, chowamy i na panów szlachtę i na kapitalistów.

Tadeusz skręcił w inną ulicę. Czy mu przyszła myśl, że przeciw błaznowi występował nie jako rycerz, ale jako błazen?... Nie wiemy!.. Przyszłość nam to okaże.

Iskra.

KONIEC

dzie mogło być również silne i skuteczne. Obciążanie pracą wyniszcza organizm tak bardzo, że potem nic nie jest w stanie odrodzić utracone już siły. Nie myślcie czytelnicy, że prawda ta nie jest znaną klasom pracującym. W tym samym czasie, kiedy cały lud robotniczy zapracowuje się, kiedy dziatwa robotnicza marnieje na fabrykach i w warsztatach, kiedy kobiety z ludu narażają się na tysiące chorób z powodu zbytniej pracy,— w tym samym czasie toczą się rozprawy o ćwiczeniach gimnastycznych dla tych, którzy nie potrzebują pracować, o potrzebie rozrywek dla tych, których głowa od pracy nie boli, — w tym samym czasie odbywają się zjazdy i narady pedagogów *), którzy dysputują nad każdą godziną zajęć dla dzieci, mogących chodzić do szkół, czy nie jest ona zbyteczną, czy nie jest ona już „obciążeniem“ i t. d. Ale narady te, starania te wszystkie, by społeczeństwo składało się z ludzi zdrowych, mają na celu tylko rządzące klasy, tylko tych, którzy z cudzej pracy żyją. Tak samo, jak bogactwa wszystkie tylko dla nich istnieją, tak samo tylko dla nich istnieje nauka o zdrowiu i t. d. Nie chcemy bynajmniej wyrazić tu to przekonanie, że klasy panujące chciałyby widzieć ludność robotniczą cherlacką i chorowitą. Owszem, byłoby im przyjemnie nawet, gdyby każdy robotnik był stokroć silniejszym; wszak wtedy jego siła robocza byłaby stokroć razy płodniejszą. Ale i wtedy nastąpiłoby to, co dziś ma miejsce. I wtedy byłoby pracy nadmiar, a odżywiania za mało. Klasy panujące, by podnieść swój zysk, który ciągną z pracy ludowej, stają się wampirami, wysysającymi krew ludzką, doprowadzającymi całą ludność robotniczą do anemii, bezkrwistości.

Jeśli nadmiar pracy jest szkodliwym w każdym wypadku, to jakież pustoszące muszą być jego skutki tam, gdzie sama praca przedstawia już sobą niedogodne dla zdrowia warunki, jak naprzykład w kopalniach i t. d. Zamiast, by pracę tę z natury szkodliwą otoczyć takimi warunkami, któreby usunęły ujemne strony pracy, — widzimy i tu obciążenie pracą! Mamy więc już drugie żądło, które krwawi nas i przyprowadza do choroby, mianowicie: brak warunków zdrowotnych dla pracy.

Podczas gdy teatry, sale koncertowe, miejsca zabaw, gdzie panowie przychodzą się „rozrywać“, są już dziś tak urządzone, że powietrze i t. d. w nich nie szkodzi zdrowiu; podczas gdy wszystkie środki są przedsiębrane, by otoczyć klasy próżnujące jak najlepszymi warunkami, — w fabryce, w warsztacie, w kopalni przechadza się wolno śmierć koścista, która dotyka zlekka każdego, kto się tam znajduje. To jest jej dotknięcie się, gdy przez gardło wchodzi we wnętrze nasze złe powietrze, kurz z rozmaitych minerałów, opiłki metali i t. d.; jest to jej dotknięcie się, gdy żar pieców rozpalonych wysusza ciało, pali skórę i wędzi nas prawie w dosłownem znaczeniu tego słowa. A teraz zapytajmy się czyje jest to żądło, które nam zdrowie i siły odbiera? Jest to wampir-człowiek, który nas niszczy, pali, suszy, wędzi i dusi, a wszystko to dlatego, by mieć jak najmniej kosztów przy wytwarzaniu bogactw i jak najwięcej dochodów. Każda kropla krwi, którą tracimy w tem piekle fabrycznem, stanowi dla kapitalisty-wampira grosz, złoty, talar, jednem słowem... pieniądz.

Nie mówimy już nic o tych spustoszeniach, które dzisiejsze urządzenia fabryczne robią, wywołując bezustanne wypadki, pociągające za sobą śmierć lub kalectwo i to nietylko jednego człowieka, ale dziesiątki ludzi, nieraz nawet, jak w kopalniach, setki ludzi. Nie mówimy dziś o tem, bo te wypadki należą do innej kategoryi zbrodni: do morderstw. Wampir zaś zabija w inny sposób, kradnąc krew; my też dziś przedstawiamy te fakty, w których kapitalista występuje nie jako morderca, ale jako wampir, kradnący klasie robotniczej jej krew, doprowadzający ją do anemii.

Widzieliśmy, jak robotnik traci swą krew wskutek przeciążenia pracą, wskutek złych warunków, przy jakich on pracuje. Zobaczmy teraz, czy ma on możność odzyskania utraconych sił, innemi słowy, czy przynajmniej jest on w stanie należycie się odżywić, by choć w części odzyskać utracone siły?

Ale po co zadawać to zapytanie? Wszak nieraz już podnosiliśmy głos skargi na nizką płacę roboczą, na głód i chłód, który cierpimy, na brak chleba, a ileż to razy na brak pracy nawet, tej pracy, która nas powoli zabija.

Trzecie żądło więc jest: złe odżywianie się, jest kradzież naszego zarobku, jest zbyt mała płaca robocza.

Zbytecznem będzie już tłomaczyć, że wszystkie wyżej przytoczone trzy żądła, wysysające krew naszą, mają jeden wspólny korzeń: w y z y s k. Potwór zaś, który na nas napadł, jest nikt inny, jak ów wampir - człowiek, który zawładnął narzędziami pracy i uczynił nas zależnymi od swej woli i swych potrzeb. Jemu nasza praca jest potrzebną i to w jak największej ilości, jak wampirowi - nietoperzowi krew; razem z pracą zabiera on nam i naszą krew.

Panowanie wampira trwać będzie dopóty, dopóki dzisiejszy porządek społeczny istnieć będzie, dopóki pracujący będzie musiał wynajmować swą siłę roboczą wampirowi-człowiekowi. Robotnicy polscy powinni o tem pamiętać i przygotowywać się do walki z kąsającym nas wampirem.

A jeśli nam sił nie starczy jeszcze do zgniecenia całego potworu, to jedno możemy już i dziś robić, możemy jego żądła uczynić choć na chwilę mniej bolesnemi, możemy je tępić. Walka nasza jest prosta; musimy występować:

przeciw obciążaniu nas pracą,

przeciw dzisiejszym porządkom fabrycznym,

przeciw zbyt nizkiej płacy roboczej, niepozwalającej nam należycie się odżywiać.

Jeśli postawimy należyty opór, to uchronimy się od dalszych skutków zabijającej nas anemii, bezkrwistości. Do kwitnącego zaś stanu zdrowia, do życia pełnego krwi dojdziemy dopiero wtedy, gdy będziemy panami owoców naszej pracy, gdy wyzysk zupełnie zniesionym zostanie...

*) Pedagog jest to słowo greckie i oznacza nauczyciela, wychowawcę dzieci.



PODLI!

Nasi patryjoci prowadzą wielką politykę. Wszędzie udają oni ludzi, miłujących wolność i swobodę; wszędzie występują oni, jako obrońcy praw człowieka. Oni gotowi są nawet bronić praw psa, mającego właściciela polskiego i jeśli niemcy każą psom zawiesić tabliczkę z napisem „hund“, albo moskale z napisem „sobaka“, to we wszystkich kościołach, sterczących na ziemi polskiej, odprawione będą msze i nabożeństwa na łaskawą intencyję psów naszych, by je psami nazywano. Posłowie polscy gotowi są wtedy wołać do Bismarka: jesteśmy „psy“, a nie „hundy“; zaś studenci warszawscy zrobią chryję; byleby ich nie sobakami zwano. Wszystko to będzie się nazywało „obroną praw człowieka.“

Ale gdy nikczemni siepacze rządowi zamordują robotnika, który w obronie swej wolności i swej pracy powstał, który spieszył ze słowami prawdy do swych braci — wtedy „żądne wolności“ serce patryjoty milczy, — wtedy poseł polski po cichu błogosławi policyjanta pruskiego, — a butny student warszawski będzie śpiewał wesołe śpiewki studenckie... byleby po polsku.

Wspominaliśmy już o śmierci męczeńskiej naszego towarzysza, Kazimierza Szukalskiego, którego zbiry Bismarka zamordowali w więzieniu poznańskiem.

Obłożnie chorego zaaresztowano w Berlinie. Pomimo wszelkich zabiegów rodziny został on przewieziony do Poznania. Gdy już chory był bez nadziei, kat poznański, prokurator Martins pozwolił matce odwiedzić syna, którego już dwóch dozorców musiało podtrzymywać podczas rozmowy.

Znękanej matce pozwolono odwiedzić syna, ale dopiero po czterech tygodniach, gdy tenże był już bliskim śmierci. Prokurator Martins zgodził się na przewiezienie chorego do szpitala dopiero gdy lekarz zaświadczył, że Szukalski żyć nie będzie.

Mordercy udało się! Szukalski zmarł w szpitalu!

W dzień pogrzebu cóż pisały gazety polskie? Czy upomniały się one o życie zamordowanego? Czy znalazł się choć jeden patryjota, któryby zażądał śledztwa? Czy znalazło się choć jedno uczciwe pismo, któreby nazwało postępowanie rządowe, jak należy?

Nie! Nie znalazł się żaden patryjota, któryby wystąpił przeciwko morderstwu robotnika, któryby ośmielił się mówić przeciwko wyzyskowi. Nie znalazło się żadne pismo polskie, któreby upomniało się o zgwałcone prawa, nietylko prawa pisane, ale prawa ludzkie.

Nie znalazło się, bo patryjota polski, który broni własności pańskiej i wyzysku pracy robotnicze, jest wrogiem robotnika polskiego, przychodzącego do świadomości swego położenia i gotowego bronić swych praw i swej pracy.

O, wiemy o tem, iż panowie patryjoci dużo prawią o tem, że miłują lud cichy i pokorny, który daje się grabić i wyzyskiwać, który w nieświadomości pracuje na nich. Ale tych z ludu, którzy myślą o obronie swych praw, którzy są przeciw wyzyskowi — panowie nienawidzą tak samo, jak ich nienawidzą Bismarki i cary, tak samo, jak ci ostatni mordować ich każą.

W sprawie Szukalskiego polscy patryjoci i polska prasa są wspólnikami Bismarka i Martinsa. Ich milczenie jest najlepszym znakiem zgody na mord dokonany. Popamiętamy i to! Do księgi przestępstw, które polskie klasy posiadające nad ludem naszym spełniły, przybywa jeszcze jedna zbrodnia: **w s p ó l n i c t w o w mordzie,** *dokonanym na towarzyszu naszym: Kazimierzu Szukalskim.*

Pokwitowania

Od Towarzystwa robotników polskich w Genewie 5 fr. 10 centimów.

Wyszedł z pod prasy V-ty tom „Biblijoteki Robotnika Polskiego“ zawierający pracę

A. Schramm'a

O WYTWARZANIU BOGACTW

DRUKIEM „PRZEDŚWITU“ W GENEWIE. CHEMIN DANCET, 15